XXIII. Kraków, 15 marca 1920 r. Nr. 6.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 M. 97 fen.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 470

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81,

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 1·40, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 2, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 2·80, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 7.

Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor.



— Głupia powieść!... Żona rozpacza, że mąż ją zdradza z tancerką!... A ile razy zdradził tancerkę ze swoją żoną?... Acha!...

Między podlotkami.

— A dokąd chciałabyś się wybrać w podróż poślubną?

— Ja?... Na biegun północny!... Pani profesorka mówiła, że tam jedna noc trwa pół roku...

Sans géne.

U swej małej przyjaciółki
Radca raz na miesiąc bywa.
Bo pan radca — raz na miesiąc
Lubi, — co to się nazywa!

Chodzi do niej (tem nie krzywdzi
Ani żony, ni swych dzieci).
Co pierwszego do niej chodzi
Akuratnie punkt o trzeciej...

Wchodzi... Lola zmyka z krzykiem
Do drugiego pokoiku,
— Jeszcze może mnie kto spostrzedz,
— Mówi radca — nie rób krzyku!

Na serdeczną tą zachętę
Lola wraca!... ach filutka!...
Naga szyjka i ramiona
I spódniczka na niej krótka.

— Ach! przepraszam! — mówi skromnie
I na ziemię spuszcza oczka,
— Że przyjmuję w tym negliżu,
Że nie wdziałam choć szlafroczka.

— Nic nie szkodzi! — rzekł i jeszcze
Dodał słowa te uprzejme:
I ja w biurze przy robocie
Widzisz — zawsze surdut zdejmę!...

Pod znakiem czasu.

— Ja, proszę pani, jestem zdania, że i my, kobiety, jesteśmy obowiązane do świadczeń wojennych! Nie odmawiam też z zasady żadnemu wojskowemu!

— I ja też!... Jestem jednak zdeklarowaną zwolenniczką rozbrojenia... Każdy odwiedzający mnie wojskowy musi nie tylko odłożyć broń, ale zdjąć i mundur!...

Bezpośrednie połączenie z Marsem

Obecnie coraz częściej czyta się o znakach tajemniczych, mających rzekomo pochodzić z Marsa, o jego kanałach, ludziach, potworach, zwyczajach i obyczajach, jakie tam panują, nie jest zatem wykluczone, że uda się nam, dzięki najnowszym zdobyczom techniki, uzyskać bezpośrednie z nim połączenie... Bo, jak na razie, to komunikują się z nim tylko spirytyści...

W redakcyi pewnego dziennika pracowano właśnie wspólnemi siłami nad artykułem w tej kwestyi. Skrzypiały pióra, dźwięczały nożyce.

Nagle wpada do sali reporter, wołając:

— Heureka!... Udało mi się uzyskać bezpośrednie połączenie z Marsem!

— Co?... Jak?... Gdzie?... Kiedy?... — posypały się pytania ze wszystkich stron. Zwłaszcza referentka spraw spirytystyczno-marsowych była nadzwyczaj zaciekawiona.

— Przed kwadransem z nim rozmawiałem! — odpowiedział zagadnięty.

— Pan?... Czy być może?... Nie wierzę!...

— Daję słowo!... O!... W tej ręce miałem... — i pokazał prawą rękę.

— Co takiego?

— Słuchawkę telefonu!

— Więc telefonem, nie telegrafem bez drutu?

— Telefonem!... Skądże w Limanowy wziąłby się telegraf bez drutu!...

— Jakto w Limanowy?

— Wiecie państwo chyba, że w Limanowy ma Mars browar. Ponieważ ceny piwa podniesiono, byłem ciekawy, czy się to odnosi i do piwa limanowskiego, połączyłem się zatem telefonicznie i sam właściciel odpowiedział mi, że tak!... Odtąd w handlu bombka cztery korony!...

Na Linii A—B.

(Rozmowa dziewic).

— I cóż ty na to porozumienie z Marsem, o którem tyle teraz piszą w gazetach?

— A cóżby?... Nic!... Co mnie tam może jakiś Mars obchodzić!.. Ja wiem tylko tyle, że z „synami Marsa" jest porozumienie bardzo łatwe, choć nie władają językiem polskim, i to mi zupełnie wystarcza!...





Z karnawałowych reminiscencyi.

Na święta Wielkanocne przyjechał do rodzicielskiego domu pan Stanisław, pociecha mamy i taty (a także i całej płci pięknej wioskowej...), studyujący w Krakowie agronomię.

Troskliwa mama, ot, jak kobieta dawnego autoramentu, poddała, zaraz po przyjeździe jedynaka, oględzinom jego garderobę, aby się przekonać, czy nie wymaga jakich naprawek.

Na futrze (ciepło już było, zatem pan Stanisław chodził w paltocie...) ujrzała ku swemu zdziwieniu przyszyty kawałek płótna, a na niem jakiś znak...

— A to co? — pyta ciekawie.

Trudno było powiedzieć, że to numer z zakładu zastawniczego, gdzie futro było „ulokowane". W pospiechu zapomniał go odpruć.

— To, proszę mamy, znak z garderoby... Byłem na Reducie prasy, jak pisałem w liście — wytłumaczył, a mama dobrodziejka uwierzyła.

Z kolei dobywa rodzicielka parę spodni frakowych i widzi na nich taki sam znak.

— Bój się Boga! — pyta zatem. — Toś ty na tej reducie zdejmował i spodnie?..

* *
*

W dniu 29. lutego odbyła się w sali Saskiej maskarada, naturalnie „neutralna" (okres purimowy!...), bo to katolicki karnawał się już skończył, a koci jeszcze nie zaczął.

Na kilka dni przed zabawą siedzi pan Salzstangel w *Esplanadzie* w gronie kolegów i znajomych i narzeka:

— Chciałbym być na maskaradzie, ale nie mogę się zdecydować na kostyum... Doradźcie mi, jaki wybrać, aby był oryginalny i nie kosztował dużo!

Ten radził to, tamten owo. Wreszcie odzywa się z kąta jeden z sąsiadów, znany ze złośliwego języka:

— Ja panu poradzę!... Będzie i oryginalnie i obejdzie się bez kosztów...

— No!... Proszę!

— Wystąp pan jako ratler!

— Jaki ratler?

— Nie wie pan, co to jest ratler?... To jest gatunek psa, który ma obcięty ogon i uszy!... Przyjdzie to panu z łatwością, bo tylko uszy będziesz sobie musiał przystrzydz...

Seans spirytystyczny.

(HUMORESKA.)

Żyjemy w czasach, w których doświadczenia spirytystyczne zaczynają wchodzić coraz bardziej w modę. Ludziom nie wystarczają już rozmowy z istotami żyjącemi, chcieliby się koniecznie porozumiewać z nieboszczykami, zapewne dlatego, aby się od nich dowiedzieć, czy się opłaci przenieść się do tak zwanego „lepszego życia", czy też bajką jest to, co opowiadają o wiecznej szczęśliwości.

Czytamy też sążniste artykuły o rozmowach z duchami, niestety, żaden z nich dotąd nie dał w tej kwestyi spodziewanych wyjaśnień. Widocznie duchy potrafią lepiej dochować tajemnicy, niż żyjący. Nawet tak gadatliwe za życia niewiasty odznaczają się po śmierci nadzwyczajną powściągliwością.

I nic też dziwnego, że nawet w takim Jordanowie zajęto się spirytyzmem nie na żarty, a kiedy numer *Kuryerka*, przynoszący wiadomości z dziedziny spirytyzmu, był odczytywany od deski do deski i komentowany, i to tak przez płeć nadobną, jak i przedstawicieli płci brzydkiej.

Szukano sposobności, aby urządzić seans, wychodząc z założenia, że w tak wysoko położonej miejscowości łatwiej się będzie porozumiewać z mieszkańcami nieba, niż naprzykład w Krakowie, nikt jednak nie umiał się do tego zabrać i doświadczeniami pokierować.

Zapanowała też ogromna radość, gdy się dowiedziano, że na święta Bożego Narodzenia przyjeżdża z Krakowa pan Stefan, z zawodu handlowiec, więc chyba obeznany ze spirytyzmem.

Powiedziano sobie, że jeżeli on nie pomoże, nie da rady nikt inny. Tak twierdził zwłaszcza pan Ludwik, prowincyonalny pożeracz serc niewieścich, kolega i przyjaciel pana Stefana. Znali się od dziecka i na jednej ławie brali w skórę od pana profesora, gorliwego wyznawcy starej pedagogicznej zasady „różdżką dziateczki Duch święty bić radzi".

Dodać jednak należy, że pan Stefan miał kolegę, jak to mówią „na wątrobie", bo będąc sam bardzo łasy na niewieście wdzięki, przeczuwał w panu Ludwiku niebezpiecznego rywala, który pod jego nieobecność bałamuci jordanowskie piękności. Zaprzysiągł mu też zemstę i czekał tylko na stosowną chwilę, aby swój zamiar w czyn wprowadzić.

A chwila ta miała właśnie nadejść dzięki owemu seansowi.

W jednym z miejscowych domów zebrało się liczne grono znajomych, płeć piękna była bardzo obficie reprezentowana, nie brakło też pana Ludwika, pojawił się i pan Stefan.

Gdy rozmowa zeszła na duchy, zwrócono się do pana Stefana z zapytaniem:

— Umie pan wywoływać duchy?

— Naturalnie!... — odpowiedział z taką pewnością siebie, że serca niewiast zaczęły pęknieć z radości i omal nie rozsadziły staników... Zbliża się zatem upragniona chwila, na którą tak długo czekano!

— Ach!.. Jak to dobrze!... — odezwały się głosy z różnych stron. — Może nam pan zatem pokaże?...

— Co mam pokazać? — zagadnął.

— Jak się to robi...

— Z największą przyjemnością!

— Jaki pan dobry!... A czy potrzebne są do tego jakie przygotowania?

— Bardzo małe!... Muszę tylko wynaleźć sobie odpowiednie medyum...

— I to zapewne musi być mężczyzna?... Czytałyśmy, że pani Siemaszkowa ma w Warszawie do tego swojego Guzika...

— Niekoniecznie!... Może być i kobieta...

— Ale to nie będzie boleć?

— Broń Boże!...

— Ach!... Ja tak chciałabym być pańskiem medyum! — Wyszeptała jedna z panienek, która „miała się" do pana Stefana.

A on potoczył wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Niestety!... Widzę, że jeden jedyny Ludwik nadaje się do tego!... — w duchu zaś dodał, że właśnie nadarza się sposobność skompromitowania rywala w oczach płci pięknej.

Panu Ludwikowi jakoś nie w smak poszły te słowa, ale nie oponował, aby go nie posądzono, że jest podszyty tchórzem...

— Wprawię Ludwika w stan snu kataleptycznego, a ręczę, że doświadczenia się powiodą.



Nieco z historyi.

Ma na wiosnę być matura,
Z którą takię ambarasy,
Więc historyę, repetycyę
Ma gospodarz ósmej klasy.

O Dziewicy z Orlęanu
Pyta uczniów, lecz o zgrozo!
Lękcyi żadęn z nich nię umię,
Chociaż belfęr grozi karą!

— Tak! — wybucha wręszcię z gniewęm —
Nięch tak tylko idzię dalej,
Toż ja więm, żę przy „Dziewicy"
Oczywiście — wszyscy spali.

— Bardzo ładnie! — tak profęsor
Mówi dalej z gniewną twarzą,
Opłakanę tego skutki
Już na wiosnę się okażą!...

Przewidująca.

W domu państwa Kohnów odbywały się „chrzciny" nowonarodzonego Lejzorka, przyczem, jak wiadomo, używa się nie tyle kropidła, ile nożyczek...

Podczas ceremonii, dokonywanej według rytuału ale z uwzględnieniem postępu, odnośny „kawałeczek" spadł na ziemię.

Widząc to, pani Ryfcia, która z uwagą śledziła przebieg ceremonii, schyliła się pospiesznie i podniosła to, co upadło...

— I pani chciało się schylać po takie głupstwo? — pyta stara i doświadczona pani Sara.

A Ryfcia na to z powagą:

— Kto małego nie szanuje, na większy nie zasługuje!..

I westchnęła cicho, a gorąco.

Nasi restauratorzy.

(Ex re nowego podwyższenia cen).

Gość, oburzony małą porcyą, a wysoką ceną, każe wołać gospodarza i odzywa się doń w te słowa:

— Nie, mój panie!... To już przechodzi granice!... Porcye coraz mniejsze...

— Panie dobrodzieju — ten na to — musiał pan czytać, że Najwyższa Rada koalicyjna nawołuje znów do najdalej posuniętej oszczędności... Ja też oszczędzam na mięsie, ile się da!

— Ale ceny pan podniósł!

— Tak!... To prawda!... Ale to nie moja wina!... Magistrat kazał przedłożyć nowy cennik z wyższemi cenami, a ja jestem posłuszny... Daję panu dobrodziejowi jednak słowo uczciwego człowieka, że sam płakałem, układając ten cennik!... Niech mnie tak szlag trafi, jeżeli kłamię!... Cóż jednak było robić, skoro kazali!... Jedno jednak kryje drugie!... Porcyjka mniejsza, cena wyższa zato... Na tem gość tylko może dobrze wyjść, bo sobie żołądka nie zepsuje... A tych kilka koronek różnicy nie zrobią, bo, wiadomo, one nie mają prawie żadnej wartości...

Teatr powszechny.

„KAIN"

Goły wpośród rajskich krain,
Ojciec Adam, Abel, Kain,
Goła Alma i Tomara,
Goła również Ewa stara.
Tak ze sceny ujrzał lud
Wzory przyszłych nowych mód.

OPERA

Tam na Rajskiej wieje wiater,
Bolek chciałby wleść w teater
I intencye żywi szczere,
Aby zrobić tam operę!...

Co pietruszka to nie koper,
Nam nie trzeba twoich oper;
Pochwalone Goetza imię
Rób operę w Okocimie!...



Grzeczny kawaler.

Ona: Pan ubiera się nadzwyczaj elegancko i gustownie!... Zwłaszcza w tych spodniach jest panu bardzo do twarzy...

On: O pani!... Rozkaż tylko, a w ten moment złożę je u twych stóp w dowód poważania!...

Małżonkowie.

Pani Feiner i Gemeiner
Z oburzeniem nie na żarty,
Narzekają na swych mężów,
Że łobuzy i lamparty.

I nietylko, że w sypialni
Sprawują się najochydniej,
Lecz gdy który wyjdzie wieczór,
Niema w domu go po trzy dni!...

Na to rzecze pani Hejes:
„Tu nic lament nie pomoże!...
Mąż jak rzeka — wyjdzie z brzegów
Lecz powróci w swoje łoże!"

Brak uznania.

— Cóż to?... Radca kochany ma na twarzy jakieś ślady podrapania?... Czy może jaki wypadek?...

— Dyabła tam!... To następstwa wyższego wykształcenia mojej żony — jej roboty ręczne kobiece!... A chwali się, że miała z nich zawsze postęp celujący .. Mieli też czego uczyć!...

Proszę o chwilę cierpliwości!... — oświadczył pan Stefan zgromadzonym i wyszedł z pokoju.

W kilka minut wrócił, niosąc ze sobą dwa talerze.

— Teraz proszę światło przyćmić — komenderował. — Duchy mają w niebie dość jasności, na ziemi wolą ciemność!... — potem zaś podał jeden talerz Ludwikowi, polecając mu trzymać go dnem od siebie i uważnie i pilnie naśladować ruchy, jakie sam będzie wykonywał. Ustawił go zaś tyłem do zgromadzonych.

Nastała głęboka cisza, tak, że nikt nie przypuściłby nawet, iż tam tyle niewiast się zebrało!

Sam pan Stefan wziął drugi talerz w lewą rękę, i, trzymając go przed sobą, wielkim palcem prawej ręki potarł dno talerza, potem swój nos. To samo powtórzył pan Ludwik, jako posłuszne medyum. Potem drugie potarcie dna i ruch palcem przez prawy policzek, z kolei przez lewy, przez czoło, brodę i t. d.

W pokoju panowała cisza, słychać było bicie serc, tajemniczości dodawał półmrok.

— Już będzie dość! — zakonkludował kierownik seansu. — A teraz proszę rozjaśnić lampę!...

W pokoju się rozwidniło, pan Stefan odebrał talerz z rąk Ludwika, w samej rzeczy nieco tem wszystkieem oszołomionego i obrócił go twarzą ku usychającemu z niecierpliwości zgromadzeniu...

Efekt był zgoła nieoczekiwany!... Mężczyźni i niewiasty, nie zważając na powagę chwili i nie zdając sobie z tego widocznie sprawy, że mogą w ten sposób spłoszyć duchy, będące może już gdzieś na dachu, wybuchnęli homerycznym śmiechem...

A Ludwik stał w pośrodku, nie wiedząc, dlaczego i z kogo się śmieją, złośliwy uśmiech pana Stefana mówił mu przecież, że on jest jego powodem...

Nagle jedna z niewiast, która nie mogła już dłużej znieść milczenia, zawołała:

— Panie Ludwiku!... Jak pan wygląda?... Niech pan przejrzy się w lustrze!...

Wykonał, jak mu kazano, a nie przedstawiało to trudności, gdyż lustro było obok... Spojrzał w nie i osłupiał!... Koniec nosa miał czarny, czarne pręgi na czole, policzkach, pod oczami, słowem wyglądał tak pociesznie, że sam byłby parsknął śmiechem, gdyby nie przeświadczenie, że stał się ofiarą pana Stefana. Spojrzał na palec prawej ręki..., był powalany sadzą!...

I teraz dopiero zrozumiał wszystko!... Rywal podał mu talerz z dnem okopconem, dla siebie zatrzymując czysty... Był to piekielny podstęp, który ośmieszał go na wieczne czasy i to wobec tylu kobiet, na których mu tak zależało!... A znał ich języki i wiedział, że zaraz jutro rozbębni to stugębna fama po całem mieście!

I to on musiał być tą ofiarą, a sprawcą nieszczęścia przyjaciel i kolega ze szkolnej ławy...

Dysząc wściekłością, podniósł pięść w stronę rywala i zawołał:

— Krwią mi za to zapłacisz, nędzniku!... Nie daruję ci tej hańby, jaką na mnie ściągnąłeś!...

— Ja temu nic nie jestem winien! — tłumaczył się Stefan. — Chęci miałem jak najlepsze, ale skąd ja mogłem wiedzieć, że talerz nie był czysty!... Wziąłem go z pieca!... A szkoda, bo lada chwila bylibyśmy mogli rozmawiać z duchami, gdyż Ludwik ma stosunkowo dużo fluidu!... Śmiech państwa je spłoszył, bo one lubią powagę...

Jak się sprawa skończyła, na razie nie wiem, to jedno jest pewne, że pan Ludwik odtąd aż się trząsł na samo wspomnienie seansu i duchów, a znajomi nie nazywali go inaczej, tylko „spirytystą". Szanse pana Stefana podniosły się natomiast o całe sto procent i kto wie, czy już w najbliższym czasie nie założy tam małżeńskiego gniazdka...

Bo pan Stefan to „ostry chłop" i ma wielkie szczęście do płci nadobnej!...





— Niewierna! pokaż natychmiast ten list! Co on zawiera?

— Prośbę o schadzkę, pan Adolf mi pisze.

— Ach! Adolf? To co innego!... Ja myślałem, że zdradzasz mnie w kimś obcym!



— Nie wychodź teraz na ulicę! Twój mąż rozprawia się właśnie z twoim kochankiem!... Z pewnością go wyzwie na pojedynek.

— O! nie! prędzej naciągnie na pożyczkę!



— Moja Mańka była wczoraj na balu, a dzisiaj leży w łóżku!

— Tak? A u kogo?



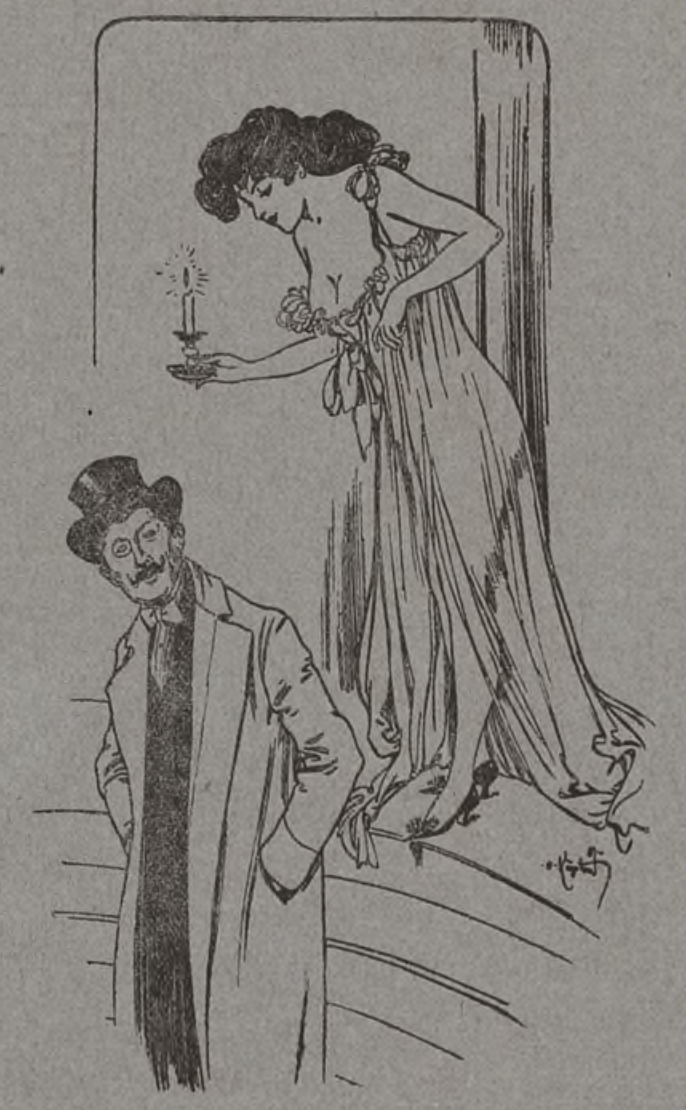
— „Jest praczka," panie doktorze!

— Dobrze! a czy przyniosła drobiazgi? One już się drą zupełnie!

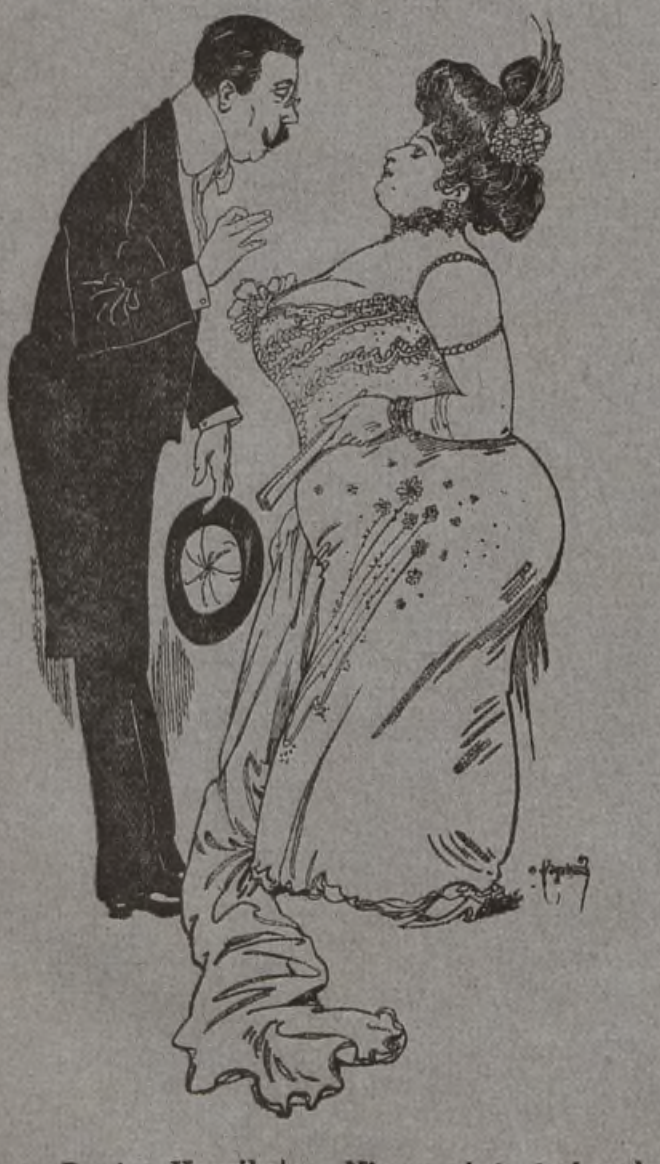
— Na razie przyniosła tylko jeden drobiazg ale ten także się drze!



— Powtarzam pani jeszcze raz. Hrabiego w gabinecie niema; zamknięty.
— Kto? pokój czy hrabia? Niech Kajetan mówi wyraźnie!



— A uważaj mój drogi, żebyś nie zleciał ze schodów!
Agent od ubezpieczeń: Głupstwo! W moim zawodzie przywykłem do tego!



— Panie Kamilu!... Niema już żadnych przeszkód do naszego zbliżenia.
Pan Kamil (patrząc na jej biust): Ja jednak widzę jednę!



— Ile wziąłeś za ostatni mój akt.
— Za sam obraz 1000 koron, a osobno 500 koron.
— Za ramy?
— Nie! za twój adres!

Ferdek Eleuteryk.



Raz ci mi jakaś brzana nagrypsała, że z takim godaniem, jak moje, to z przeproszyniem do... latarni, bo to są same najnieprzyzwoitsze nieprzyzwoitości i skroś tygo ona nigdy *Bociana* nie jest publicznie czytająca, ale sobie go zawdy bierze do łóżka.

I dobrze baba jest robiąca, bo bocian, odwidzając płeć piękną, lubi wybirać tę porę, gdy ona leży w łóżku, bedzie więc wiedzący, gdzie się udać i nie pomyli się w adresie... A jest to wcale nie klawe, jak se taki gad pomyli, przyleci zawczas, to jest jeszcze przed ślubem, lub zapóźno, na ten przykład w cztyry roki po śmierci nieboszczyka męża...

Ale nie o to mi się rozłazi!... Ja sie chciałem być tłumaczący, że tak źle nie jest, jak ta brzana nagrypsała, bo teroz wszelakie nieprzyzwoitości są w modzie, jak sie o tem możno być z tak przyzwoitygo pisma, jak *Kuryjerek*, na własne kapowidła przekonywującym.

Niedawno czytaliśmy tam, że brzana może gawra kokietować i nogami, że z lenija nosa ma się wszystko zgodzić i do niej klapować, nawet podwiązki, że paryski bokser jest ciepłe z brzanami stosunki mający, teroz znowu dowiedzieliśmy się z artekułu pani „Ah fe" (zdaje mi sie, że tak jest podgrypsany... w każdym razie te litery, ino może w inakszym porządku...), że nowy murzyński czy indyjański taniec, co sie wabi *two step*, choć polego na nieprzyzwoitym ruchu biedrami, jest całkiem przyzwoity i każda brzana może se na to pozwolić. Nie jest on bardzo piekny, ale zato zdrowy, bo możno se cielsko należycie wygimnastykować.

Babcia, która w tym artekule patrzała, jak jej wnuczka dyrdo po stancyji *two step* zemgłała, ale nie z oburzynio, jakby kto był może myślący, ino z żałości, że dla nij już te czasy mineny!

Słyszołem i czytołem, że sie niektórym brzanom i gawrom nie była podobającom rozmowa „dobrze wychowanygo" oficyra z młodą paniczką.

I cóż jij rzeknął?... Ano pedzioł jij, że jest fest zbudowano, że mo rasowe nogi, że pochnie jak łąka na wiosne, że jij pożądo...

Bo i cóż mioł godać?... Czy byłoby klawij, gdyby był rzeknon:

— Panna ma morowe okapy (rozumieć trzeba „przedsięwzięcie!"), bycze kopyta, wonieją kwarglami...

Co do onygo pożądanio, to móg se darować i nic nie godać. Brzana sie i bez jigo godanio tego domyśli!

Otóż jo nie jestem w tem nic złygo widzący, bo wiem, że na to Pan Bóg stworzył gawra i brzanę, aby się kochali, ale to mi sie nie jest podobające, jeżeli mi kto jest w drogę włażący i konkurencyję trudną robiący. Od kochanio jest *Bocian* zaś *Kuryjerek* od szyrszyj poletyki. Wprawdzie do wewnętrznyj należy odbudowa kraju, a jednym z warunków jest jego zaludnienie i o to powinien sie każdy być starający, ale jo jestem tygo zdania, że jeden wszystkiemu nie podoło i praca powinna być podzielona. Ty sie bawisz poletykę i mordujesz Grabskigo, jo ci nie wraże nosa w twoje — z przeproszyniem — sprawy, zatem i ty daj mi spokój, co sie tyczy kochanio, bo od tygo jest *Bocian,* który się dlatygo nazywo „ptakiem miłości".

Taki artekuł, jak o tym kocie Wojtku, który czując wolę Bożą i zbliżającą się wiosnę, moransuje z białą kotką w łazience, to jest rzecz całkiem naturalno. Teroz koci karnawał, bo marzec. Moransują ludzie, idą w ich ślady i koty i podobnie jak oni wybirają sobie do tygo nocną porę. Ta ino różnica, że lubią to załatwiać na dachu i miauczą wtedy, a ludzie wolą to w pokoju i pocichu, aby nie słyszoł ten, co nie potrza...

Skoro mi pani „Ah fe" chlib odbiro, niech se grypso zdrowo o tem, ja zato zabierę się do poletyki na złość *Kuryjerowi,* a, aby zrobić konkurencyję autorce, wezne sie do modów, bo na kieckach sie znom i umie sie z niemi obchodzić...

I bedzie oko za oko, ząb za ząb i tak dalij!...

Kansonetta.

Na mem ramieniu
Skłoń luba główkę,
Odrzuć nieufność
Jak i sznurówkę.

Masz temparament
Niczem u Włoszki,
Zrzuć pychę z serca,
Z nóżek — pończoszki!

W kraine czarów
Z tobą popłynę,
Mam na to czasu
Blisko godzinę.

Niech usta złączy
Miłości kares.
Oddam ci serce
Jak i pulares!

Z ruchu kobiet.

Na niedawno odbytem posiedzeniu Komitetu równouprawnienia kobiet, referentka sprawy powołania płci pięknej do reprezentacyi gminnej odezwała się w te słowa:

— Tak jest, moje panie!... Teraz przyszedł czas i na nas. Pokażemy mężczyznom, że potrafimy nie tylko rodzić, ale i radzić...

* * *

Na temsamem posiedzeniu postawiła jedna z pań wniosek, aby posłowie sejmowi rodzaju żeńskiego poczynili odpowiednie starania o założenie jak najrychlej szkół gospodarstwa domowego, gotowania, naprawiania bielizny i t. d... naturalnie dla mężczyzn, gdyż w przeciwnym razie wygasną ogniska domowe...

* * *

Wniosek pani Mężołubskiej, aby w porze nocnej trębacz na wieży Maryackiej zamiast zwykłego hejnału powtarzał znany refren z „Ptasznika z Tyrolu": *Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz...* — nie uzyskał absolutnej większości. Opozycya wychodziła z założenia, że na podstawie badań amerykańskiej uczonej, będą się odtąd dzieci rodzić w retorcie...

Wnioskodawczyni oświadczyła na to, że ona pozostaje przy dawnym, wypróbowanym systemie.





Biedny Melchus!

W klasztorach panuje zwyczaj, że podczas obiadu czyta się głośno coś poważnego.

Tak było też i w klasztorze żeńskim, gdzie w wielkopostnym czasie podczas obiadu jedna z pensyonarek starszych odczytywała wyjątki z Męki Pańskiej, inne zaś w milczeniu posilały wątłe ciała...

Czytająca doszła właśnie do słów: „A święty Piotr wyjął miecz z pochwy i uciął Melchusowi..." i na tem urwała, śmiejąc się i czerwieniąc...

— Co uciął? — pyta zakonnica. — Dlaczego nie czytasz dalej?...

Posłuszna, zaczęła od rozdziału, doszedłszy jednak do tych słów, zasłoniła twarz książką, zanosząc się od śmiechu...

— Cóż znowu za głupstwa?... — oburzyła się dobrodziejka. — Czy cię szatan opętał?...

Gdy to nie pomogło, zakonnica kazała jej zejść z podwyższenia, które zajęła jej koleżanka.

I tej jednak nie poszło lepiej. Po dojściu do przytoczonych wyżej słów, powtórzyło się jota w jotę to samo

— Skaranie Boskie z temi paskudnicami! — jęczała zakonnica. — Co też temu chodzi po głowie!... Idź mi precz z oczu!... Chodź! ty mała, zawstydź je!...

Na wzniesieniu zasiadła najmłodsza z uczenic i czytała:

— A święty Piotr wyjął miecz z pochwy i uciął Melchusowi pępek!

— Co!... Co mu uciął?... — zawołała zakonnica...

Mała powtórzyła to samo jeszcze dokładniej ku radości młodych, a zdziwieniu starszych.

— Pokaż! — zawoła przełożona, wyrywając jej książkę z ręki. I naciągnąwszy na nos okulary, wskazując sobie słowa palcem, czytała uważnie:

— A święty Piotr wyjął miecz z pochwy i uciął Melchusowi pępek!... Tak — powtórzyła. — Najwyraźniej: pępek!...

Trzeba zaś wiedzieć, że ktoś złośliwy, który miał w ręku przedtem książkę, przerobił sobie na figiel. Wymazał słowo „ucho", wpisał zaś, naśladując druk „pępek"...

Zakonnice zdziwione poważnie, pensyonarki, zwłaszcza starsze, rozchichotane.

A przełożona westchnęła ciężko, zdjęła z nosa okulary i rzekła do siebie ze współczuciem do siebie:

— Biedny człowiek!... Tamtego roku ucięli mu ucho, tego roku pępek!... Ciekawa rzecz, co mu też za rok utną, idąc coraz to niżej!...

Przytomność umysłu.

Debiutant występował na scenie w roli kochanka, wracającego od narzeczonej.

Całe jego zadanie, od którego zależała jego przyszła karyera sceniczna, polegało na tem, że miał się ukazać z różą w ręku i odezwać się:

— Wracam od narzeczonej!...

Nieszczęście jednak, które chodzi po ludziach, nie po lesie, chciało, że róży nie było pod ręką, a na czekanie czasu nie stało...

Ale on nie stracił fantazyi, wszedł śmiało na widownię i, podnosząc same palce do nosa, odezwał się, jak należało:

— Wracam od narzeczonej!...

Nagrodzono go za to burzą oklasków...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Neapol, data stempla pocztowego.

Najmilsi!

I przekonałem się, że mają racyę ci którzy twierdzą, że we Włoszech żyć, nie umierać. Ja sam jestem tego zdania, boć śmierć nie jest niczem przyjemnem, a pożądaną bywa co najwyżej tylko przez spadkobierców. którzy spodziewają się, że im co kapnie... Po mnie, moim w Krakowie mogłoby kapnąć chyba coś z kasztana, o ile znajdą się na plantacyach, bo to już wiosna i gawrony zaczynają słać gniazda, nic sobie nie robiąc z rozporządzenia magistratu w sprawie „zanieczyszczania miejsc publicznych".

Tutaj także wiosna, słowiki śpiewają (naturalnie po włosku), pomarańcze kwitną, słońce grzeje, morze szumi, Wezuwiusz kopci — słowem gdzie się człowiek ruszy, czekają nań nowe wrażenia.

W Neapolu przyjęto mnie bardzo serdecznie. Na wiadomość o mem przybyciu zamknięto wszystkie sklepy (była niedziela), a neapolitański Federowicz tylko z tego powodu nie wyszedł na dworzec na me przywitanie, iż nie wiedział, którym przyjadę pociągiem.

Nadmorskie powietrze taki ożywczy wpływ wywarło na me ciało, iż dawna siła i energia wróciła nawet w te członki, z którymi się już dawno pożegnałem.

I kto wie, czy mi nie przyjdą jeszcze do głowy plany matrymonialne, choć bowiem nie jestem kotem, czuję w sobie tchnienie zbliżającej się wiosny. A mam już kilka ofert małżeńskich, z których najbardziej przypada mi do gustu pewnej wdowy po pustelniku. Ma on być w najbliższym czasie zaliczonym w poczet świętych, miałoby się więc protekcyę w niebie.

Neapol, to bardzo ładne miasto. Leży nad morzem, tak, jak Kraków nad Rudawą. Ta tylko zachodzi różnica, że w Krakowie śmierdzi Rudawa, a tutaj nie morze, lecz Wezuwiusz. W morzu pływają sardynki, nie takie jednak, jak te, które u nas sprzedają, mają bowiem głowy.

Miasto, choć niema tu Zakładu czyszczenia, nie jest zanadto brudne, magistrat neapolitański tak bowiem urządził, że teren jest spadzisty i deszcz zmywa błoto i zabiera je do morza, a potem gorący wiatr afrykański suszy ulice.

Zauważyłem, że jest tu mało much i komarów. Jedni z uczonych twierdzą, iż jest to następstwem wyziewów Wezuwiusza, inni są natomiast zdania, że, nie mając co lepszego robić, wyłapali je *lazzaroni*, czyli włoskie dziady, których jest daleko więcej, niż w Krakowie, są grzeczniejsi i mówią po włosku.

Tak jest, czy owak, z powodu braku much i komarów, brak we Włoszech i ministra zdrowia, aby z nimi staczał walki. Znane jest przysłowie: „Latali muchy, będzie wiosna!"...

Włoscy *lazzaroni* tem się także różnią od naszych dziadów, że, gdy nasi lubią grać na lirach, oni zbierają liry.

Neapolitanki, to bestyjki takie apetyczne, że na ich widok poprostu sam język wyłazi z gęby... Czarniutkie, a słodkie, nieprzymierzając jak owe „neapolitanki", które przed wojną kupowałem u Maurizia. I teraz dopiero rozumiem, dlaczego to czekoladki nazywają się „neapolitanki".

Zrobiłem naturalnie wycieczkę na Wezuwiusz, aby mu zaglądnąć do dziury i powąchać, jak tam śmierdzi. Jechałem konno na ośle, według tutejszego zwyczaju.

W drodze spotkałem towarzystwo, złożone z kilku osób, między niemi była i bardzo ładna panienka, lat może szesnastu, Włoszka. Na mój widok zawołała:

— Patrz, mamo, jaki to wielki osioł! Ukłoniłem się jej za to elegancko, choć niewiem, czy się to odnosiło do mnie, czy do mego podjezdka. W każdym razie wypadało podziękować, jak nie za siebie, to za niego, bo ten osioł, choć włoski, jednakże tego nie zrozumiał, i nie wiedział, jak się znaleźć, bo właśnie w tej chwili, gdy była o nas mowa, popełnił pewną nieprzyzwoitość, na jaką ja nie pozwoliłbym sobie w towarzystwie, a potem wierzgnął i ryknął, jak gdyby się z tego cieszył.

Dziura na Wezuwiuszu, czyli krater, jest imponująca!... Takiej dziurze mówi się z szacunkiem „wy"!... Śmierdzi sobie, to prawda, ale od tego jest dziurą... Czasem się z niej kopci, czasem sypie popiół, czasem bucha gorąca lawa, zależnie od tego, w jakim Wezuwiusz jest humorze.

Z Wezuwiusza na Neapol jest bardzo ładny widok, podobnie jak z kopca Kościuszki na Kraków, ale droga na szczyt jest bardziej uciążliwa, niż na kopiec. Zatem wygodniej patrzy się z Neapolu na Wezuwiusz, chyba, że kto jest amatorem wielkich dziur, chce je widzieć na własne oczy i dostać się do ich wnętrza... Ja tam do nich nie zalecę, dlatego się nie spuściłem na dół (a właśnie jakaś stara Angielka szukała partnera...), popatrzyłem tylko zdaleka i wróciłem do miasta, aby się nie spóźnić na raut, który burmistrz Neapolu wydał na moją cześć. Było to w dniu 4. marca, t. j. w święto Purimu. Zdawało mu się, że mnie w ten sposób uczci, wychodził bowiem z założenia, że każdy przybysz z dawnej Galicyi to musi być żyd. Wytłumaczyłem mu, że tak nie jest, udowodniłem, że chrzczono mnie kropidłem, nie nożem, co go bardzo zmartwiło. Oświadczył, że gdyby był wiedział, byłby urządził wielkopostnego śledzia i obiecał się na drugi raz poprawić.

Pobyt w Neapolu musiałem skrócić, gdyż dowiedziałem się, że z Londynu zjeżdża do Włoch cała konferencya pokojowa, aby tu radzić, bo jej tam było za zimno.

Posiedzenia odbyć się mają w Rzymie w pałacu weneckim, wobec czego i ja się tam udaję na zaproszenie ministra Nittiego, przy tem zaś chciałbym skorzystać ze sposobności i oczyścić swą duszę, boć to czas wielkopostny.

Do Hiszpanii na walkę byków nie pojadę na razie, chyba później. Niech tymczasem podrosnę i nabiorę sił.

Następny list będzie zatem znów z Rzymu. Doniosę Wam, jak, co, gdzie i kiedy — na zakończenie zaś całuję Was, albo Wy pocałujcie mnie!

Klapa.

Pracowita pokojówka.

Andzia jako pokojówka
Zatrudniona jest w hotelu.
Hotel zaś renomowany
Liczy zawsze gości wielu.

A dwanaście ma numerów
Do obchodu i opieki.
Gdy do dwunastego wchodzi
Ma na twarzy aż wypieki.

— Tyś zmęczona — moje dziecię
Jakież tego są powody?
Ach! domyślam się, męczące
Są okrutnie nasze schody.

— Pan się myli, drogi panie
Brzmi odpowiedź Andzi szczera
To nie schody mnie tak męczą
Ile raczej te numera!



Z nauki o rodzajach.

Pan profesor wykładał o rodzajach rzeczowników i wpajał w swych uczniów tajniki gramatycznej wiedzy, która rozróżnia trzy rodzaje: męski, żeński i nijaki.

Po wykładzie postanowił zbadać, czy słowa jego padły na glebę urodzajną, zadaje też kilka pytań.

Między innemi pyta więc:

— Rzeczownik „poseł" jest zatem rodzaju?...

Na to wyrywa się mały Jaś, syn pana radcy i odpowiada:

— Męskiego, żeńskiego, albo nijakiego...

— Co ty pleciesz? — reflektuje światłodawca.

Ale uparty chłopak obstaje przy swojem. Wobec tego żąda profesor wyjaśnienia.

A Jaś, widocznie pilnie czytujący gazety i obeznany ze stosunkami, odpowiada rezolutnie:

— Taki poseł jak pan Federowicz, pan Daszyński i inni, to jest rodzaju męskiego. Ale w sprawozdaniach z posiedzeń czyta się też: posłel Moraczewska, Moczydłowska, Kłuszyńska... Te są rodzaju żeńskiego...

— Niech już stanie na twojem! — śmieje się nauczyciel.. — Ale gdzież ten rodzaj nijaki, o którym wspomniałeś?

— A Abrahamowicz, proszę pana psora? — rzecze Jaś pewny siebie.

Poradził sobie.

Stary Bernardyn miał mieć popołudniu na nieszporach kazanie, ale, ponieważ podczas obiadu nie żałował sobie „obroku cielesnego", tak w stanie płynnym, jak stałym, nie miał zatem ochoty do męczenia swych płuc, nie było zaś nikogo, kto mógłby go na nieszporach zastąpić.

Wyszedłszy więc na ambonę, zwrócił się do słuchaczów z zapytaniem:

— A czy wiecie, co wam dziś powiem?

— Nie! — odpowiedziano chórem.

— Skoro nie wiecie, to się i nie dowiecie! — i zabrał się z powrotem.

Na drugą niedzielę powtarza się znów to samo, ale na pytanie, czy wiedzą, odzywają się głosy:

— Wiemy!... Wiemy!...

— Skoro wiecie, to wam już mówić nie potrzebuję!... — i zniknął prędzej, niż przyszedł.

Widocznie jednak prawdą jest, co mówią, że „do trzeciego razu sztuka". Trzecia niedziela podobną była do obu poprzednich, ale tylko co do zapytania, odpowiedzi bowiem były podzielone. Jedni wołali: „Wiemy!...", drudzy: „Nie wiemy!..."

— W takim razie — rzekł Bernardyn — ci, co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą, a wszystko będzie w porządku!...



Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego



— Droga Fiufiutko!... Niech to brylanty będą moim tłómaczem.

— Brylanty przyjmuję, ale one mi i tak nie wytłómaczą, dlaczego ożeniłeś się ze mną!